
„ATUTY SAME NIE GRAJĄ” – CZYLI O PRACY DYPLOMATYCZNEJ W SYTUACJI ASYMETRYCZNEJ

Niniejszy numer „Polskiego Przeglądu Dyplomatycznego” trafia do czytelnika będącego pod bezpośrednim wrażeniem wizyty prezydenta Stanów Zjednoczonych Donalda Trumpa w Polsce, jego spotkań z najwyższymi polskimi władzami, przywódcami państw Europy Środkowej, którzy zjechali do Warszawy na szczyt Inicjatywy Trójmorza oraz publicznego przemówienia 45. prezydenta Stanów Zjednoczonych w polskiej stolicy. Pisząc te słowa, oczywiście nie wiem jeszcze, jak to wszystko ostatecznie się potoczy. Nie wiem, co powie światu z Warszawy Donald Trump. Nie dysponuję kryształową kulą umożliwiającą spojrzenie w przyszłość, zwrócę jednak uwagę czytelnika na kilka aspektów tej wizyty, głębiej zanurzonych w przeszłości i mających znaczenie systemowe, zarówno dla stosunków polsko-amerykańskich, jak i dla szerszej polityki w obszarze transatlantyckim.

Zacznijmy od tego, że w polityce zagranicznej bardzo rzadko mamy do czynienia z sytuacją, gdy do kontaktu politycznego przywódców państw lub ministrów spraw zagranicznych dochodzi w sposób całkowicie spontaniczny. Zazwyczaj za każdym spotkaniem kryją się miesiące pracy decydentów politycznych, doradców, dyplomatów, urzędników i funkcjonariuszy instytucji odpowiedzialnych za sprawy organizacyjne i bezpieczeństwo.

Najłatwiej jest ustalić datę i miejsce spotkania przywódców, jeśli istnieje już jakaś tradycja i praktyka ich spotkań. Stąd takie znaczenie instytucji wielostronnych, które umożliwiają rutynową komunikację przywódców. Nie trzeba dokonywać żadnych gwałtownych politycznych zwrotów, ogłaszać nowych doktryn, topić jakichś brył lodu

w „odwilżach” i „ociepleniach”. Błogosławiona nuda i rutyna. Kolejne spotkanie przywódców, jakich setki, z kolejnym nudnym komunikatem dla prasy, czasami konferencją prasową – a jeszcze lepiej bez niej. Urzędnicy i doradcy nie muszą wówczas przekonywać swoich szefów do wybrania się w czasem bardzo daleką podróż, w celu spędzenia kilku godzin przy wspólnym stole, najczęściej w gronie kilku, kilkunastu, a w przypadku G20 – kilkudziesięciu innych przywódców. Koszt polityczny dla przywódcy związany z niepojawieniem się na cyklicznie odbywającym się szczycie jakiejś instytucji jest wystarczająco duży, aby powstrzymać ich przed wymiganiem się od takiego zobowiązania. Do rozstrzygnięcia pozostają tylko kwestie polityki i jej sygnałów, które przy tej okazji przywódca będzie chciał wysłać, a więc także stanowiska wobec spraw, które będą przedmiotem dyskusji przywódców państw zrzeszonych w danym formacie.

Dużo trudniej jest zorganizować wizytę o charakterze bilateralnym. A zwłaszcza między państwami, których relacje mają charakter asymetryczny – ze względu na różnicę potencjałów. Głowę państwa o większym potencjale trzeba do takiego kontaktu po prostu przekonać. Złożenie wizyty u „młodszego partnera” lub przyjęcie jego wizyty kosztuje przywódcę silniejszego państwa znacznie więcej niż udział w cyklicznym spotkaniu multilateralnym. Innymi słowy, musi on uznać, że spotkanie tego rodzaju będzie mu się politycznie opłacać.

Najtrudniejszym przedsięwzięciem jest zazwyczaj nakłonienie decydentów politycznych do zaangażowania się w tworzenie jakiegoś nowego formatu politycznego. Wprawdzie politycznie nie opłaca im się wycofywać z projektów, w których ich państwo uczestniczy od lat – brali w nich udział ich poprzednicy, będą też następcy – to jednak wolą unikać ryzyka, że jednorazowe spotkanie przerodzi się w coś cyklicznego. Zbyt wysoko cenią sobie czas własny i swoich współpracowników, który może być zainwestowany w polityczną aktywność w kraju, a więc w sprawy bezpośrednio wpływające na ocenę przywódcy przez własne społeczeństwo, a w państwach demokratycznych – przez własnych wyborców. Inicjowanie nowych projektów wielostronnych jest także trudniejsze ze względu na silniejszą reakcję politycznych konkurentów, zwykle naturalnie zawistnych o ewentualne powodzenie

przedsięwzięcia. Wymaga też precyzyjnej odpowiedzi na pytanie, czemu mianowicie ten nowy format ma służyć i czym ma się różnić od formatów już istniejących.

Natomiast z punktu widzenia państwa o mniejszym potencjale powyższy schemat działa odwrotnie. Polityczne wyzwanie polega na takim sformułowaniu oferty, aby obniżała ona koszt polityczny po stronie silniejszego partnera. To jest często o tyle trudne, że dla przywódcy państwa o znacznie mniejszym potencjale samo doprowadzenie do spotkania z przywódcą potężniejszego państwa jest sukcesem. Dlatego jest on w sposób naturalny skłonny do szybkiego dyskontowania tego własnego sukcesu, przywiązywania wagi głównie do samego spotkania, jego formy i możliwości zrobienia sobie zdjęcia z przywódcą mocarstwa. Tymczasem przywódca państwa o większym potencjale jest przekonywany przez swoich urzędników do spotkania z „młodszy partnerem” perspektywą korzyści politycznych i gospodarczych. Z natury rzeczy ma więc większe oczekiwania dotyczące przedmiotu rozmów oraz ewentualnych praktycznych konkluzji. Inwestuje swój cenny czas, a jeśli odniesie wrażenie, iż jego rozmówca nie ma nic do powiedzenia lub przybył na spotkanie zainteresowany jedynie „zapoznaniem się z nim” i wspólnym zdjęciem, ponowienie takiego kontaktu może być w przyszłości trudniejsze, o ile w ogóle będzie możliwe. Zazwyczaj zawodowi dyplomaci i urzędnicy zdają sobie z tego sprawę; trudniej jest wytłumaczyć ten mechanizm różnego rodzaju politycznym doradcom od wizerunku, których powód kontaktu politycznego i treść rozmów zazwyczaj w ogóle nie interesują.

Aby przekonać do spotkania w formacie asymetrycznym, można zaproponować przy okazji kontakt także z innymi przywódcami, na przykład z regionu. To oczywiście wymaga większej pracy dyplomatycznej i skomplikowanych wysiłków, gdyż każdy z potencjalnych uczestników takiego spotkania kieruje się własnymi interesami i zazwyczaj wcale nie jest skory do wspierania takiej taktyki. Pokusa kontaktu z przywódcą państwa o większym potencjale jest jednak silna (np. zawsze istnieje możliwość uzyskania wspólnego zdjęcia). W końcu lepiej się z nim spotkać, w jakimś mniej lub bardziej doraźnym formacie wielostronnym, niż w ogóle nie mieć takiej okazji.

W relacjach ze Stanami Zjednoczonymi Polska tradycyjnie wykorzystuje swoją pozycję w regionie do obniżania kosztów politycznych, wynikających z angażowania czasu i uwagi prezydenta Stanów Zjednoczonych w relacje amerykańsko-polskie. Mamy pewien ważny w polityce atut, który sprawia, że koszt takiej inicjatywy dla decydentów amerykańskich jest niższy niż w przypadku rozwiązań alternatywnych. Tym atutem jest tradycja. Otóż w ciągu kilkudziesięciu lat ukształtował się polityczny zwyczaj odwiedzania stolicy Polski przez amerykańskich prezydentów. Pierwszym w 1972 r. był Richard Nixon. Po nim przyjeżdżali także Gerald Ford i Jimmy Carter. Po zakończeniu zimnej wojny Polska stała się symbolem wielkiego sukcesu amerykańskiej polityki w Europie, polegającego na przywróceniu państw Europy Środkowej, oddanych w 1945 r. pod dominację sowiecką, rodzinie demokratycznych, wolnych narodów. Dlatego częstotliwość spotkań i podróży amerykańskich prezydentów do Polski w tym czasie rosła. Każdy z nich dostrzegał własny polityczny interes w podpisaniu się pod tym amerykańskim sukcesem.

George H.W. Bush i Bill Clinton przyjeżdżali do Polski dwukrotnie, George W. Bush i Barack Obama – trzykrotnie (ostatnia wizyta Obamy nastąpiła wprawdzie w związku ze szczytem NATO w Warszawie w 2016 r.). W ten sposób powstał w Stanach Zjednoczonych polityczny zwyczaj wizyt amerykańskich prezydentów w Polsce i wygłaszania w Warszawie ważnych programowych przemówień. Praktyka ta tak się utrwaliła w amerykańskiej tradycji politycznej, że w 2011 r. próbował się do niej odwołać nawet republikański kandydat na urząd prezydenta Stanów Zjednoczonych, Mick Romney, który w toku kampanii wyborczej przyjechał do Warszawy, aby wygłosić wyborcze przemówienie w Bibliotece Uniwersytetu Warszawskiego. Notabene w tym samym miejscu, w którym w 2001 r. swoje przemówienie wygłosił prezydent George W. Bush, w trakcie swojej pierwszej wizyty. Ten atut, wynikający z tradycji, daje Polsce pewną przewagę. Przyczynił się do tego także fakt, że podjęta przez administrację Baracka Obamy próba zmiany tej tradycji i wygłoszenia ważnego programowego przemówienia w Europie Środkowej nie z Warszawy, ale z Pragi, zakończyła się klęską. W kwietniu 2009 r. Obama zaprezentował na

Hradczanach swoją wizję globalnej denuklearyzacji. Wizja Obamy rozbiła się z hukiem o polityczną rzeczywistość, a Praga zaczęła kojarzyć się z fiaskiem tej amerykańskiej inicjatywy. Można przypuszczać, że nieprędko ktoś w Waszyngtonie znowu wpadnie na pomysł, aby ważne polityczne przemówienie prezydenta Stanów Zjednoczonych zostało wygłoszone w Pradze.

Jednak to, że jakimś atutem dysponujemy, nie oznacza, że działa on automatycznie, a skorzystanie z niego nie wymaga wysiłków i pracy dyplomatycznej. Jednym z instrumentów tradycyjnie uruchamianych w takich sytuacjach przez polską dyplomację jest podkreślanie w relacjach ze Stanami Zjednoczonymi atutu Polski jako największego państwa w regionie Europy Środkowej, zdolnego do zorganizowania regionalnej platformy politycznej współpracy ze Stanami Zjednoczonymi. Karta ta była wykorzystywana zarówno przez Polskę w latach 90. XX w., w związku z zabiegami o rozszerzenie Sojuszu Północnoatlantyckiego o państwa Europy Środkowej, jak i przez Stany Zjednoczone na początku XXI w., gdy Waszyngton potrzebował politycznego poparcia dla swojej polityki wobec Iraku. Zaproponowany wówczas przez sekretarza obrony Stanów Zjednoczonych podział na „nową Europę”, ściśle współpracującą z Waszyngtonem, i „starą Europę”, utrudniającą Amerykanom prowadzenie polityki, miał swoje źródło właśnie w politycznym potencjale współpracujących ze sobą amerykańskich sojuszników z Europy Środkowej. Ich wspólne znaczenie wzrosło wówczas nieproporcjonalnie w kontekście polityki Francji i Niemiec, które amerykańskiej interwencji w Iraku nie poparły. To wtedy prezydent Francji wypominał państwom Europy Środkowej, że nie skorzystały z okazji, aby siedzieć cicho, gdy Europa rozmawia o poważnych sprawach z Amerykanami. Waszyngton wówczas bardzo potrzebował politycznych sojuszników w Europie, aby obniżyć polityczne koszty interwencji w Iraku i stworzyć dla niej protezę legalności – działanie w osamotnieniu byłoby jeszcze bardziej kosztowne niż przewodnictwo „koalicji chętnych”... by spłacić dług za rozszerzenie NATO.

Bliska współpraca z republikańską administracją George’a W. Busha ściągnęła jednak na region Europy Środkowej kłopoty po przejściu Białego Domu przez Baracka Obamę i Demokratów. Swój

autorski pomysł na politykę zagraniczną Stanów Zjednoczonych postanowili oni zaakcentować poprzez polityczną degradację państw Europy Środkowej w amerykańskiej polityce i wizji świata. To prawda, że Europa Środkowa – w tym Polska – „boksowała” wówczas powyżej swojej naturalnej politycznej wagi. „Polska strefa okupacyjna” w Iraku była tego krzyżującym dowodem. Jednak karanie całego regionu za udzielenie pomocy rządowi Stanów Zjednoczonych, który o taką pomoc wystąpił w sposób formalny, było przenoszeniem logiki wewnętrznej, partyjnej rywalizacji na sferę polityki zagranicznej. I choć w Polsce władzę sprawowały już zupełnie inne siły polityczne niż te, które zadecydowały o polskim udziale w „koalicji chętnych” George’a W. Busha, to dla nowej amerykańskiej administracji nie miało to znaczenia. Trudno się więc dziwić rozczarowaniu, które zapanowało w Europie Środkowej. Jego wyrazem był słynny list byłych prezydentów i ministrów spraw zagranicznych regionu do Baracka Obamy, ogłoszony w lipcu 2009 r. Autorzy przestrzegali nową administrację przed uznaniem Europy Środkowej za obszar obniżonego zainteresowania Stanów Zjednoczonych. Wzywali władze USA do zintensyfikowania relacji i ostrzegali, że ceną zaniedbań ze strony USA będzie osłabienie proamerykańskich tendencji w polityce zagranicznej tych państw, które mogą się jeszcze Ameryce w przyszłości przydać. Zwracali także uwagę na coraz wyraźniej rysujące się niebezpieczeństwo obrania przez Rosję konfrontacyjnego kursu w relacjach z Zachodem.

W Waszyngtonie list wzbudził irytację. Oficjalnie nie odnoszono się do niego, ale nieoficjalnie urzędnicy administracji Obamy byli wściekli i żądni rewanżu. W rezultacie Amerykanie zlekceważyli obchody 70. rocznicy wybuchu drugiej wojny światowej na Westerplatte, a dwa tygodnie później, 17 września, administracja Obamy pośpiesznie ogłosiła zmianę koncepcji budowy europejskiego komponentu tarczy antyrakietowej. Mimo to Polska także później wykorzystywała swoją pozycję w regionie do budowania relacji z Barackiem Obamą. W 2011 r. prezydent Bronisław Komorowski pomógł amerykańskiemu prezydentowi zrekonstruować relacje z państwami Europy Środkowej nadszarpniętymi w pierwszym okresie jego prezydentury, doprowadzając do jego spotkania z przywódcami państw regionu

w Warszawie. Trzy lata później w 2014 r. udostępnił nawet Obamie Pałac Prezydencki w Warszawie na podobnie spotkanie.

Przytaczam to nie tak dawne doświadczenie, aby zilustrować tezę, że w polityce zagranicznej „atuty same nie grają”, lecz trzeba dopiero sprawić, aby zagrały. Decyzja administracji Donalda Trumpa, aby skorzystać z zaproszenia prezydenta Andrzeja Dudy oraz prezydent Chorwacji Kolindy Grabar-Kitarović i spotkać się w Polsce z przedstawicielami państw inicjatywy Trójmorza w Polsce, była zapewne motywowana wieloma argumentami o charakterze wewnętrznym, a przede wszystkim oceną użyteczności tej decyzji dla realizacji żywotnych interesów Stanów Zjednoczonych. W końcu „America first!” – to nie tylko maksyma Donalda Trumpa, ale każdego prezydenta USA. Lecz, aby mogła ona zadziałać, należało prezydenta Stanów Zjednoczonych na to spotkanie oficjalnie zaprosić. Wcześniej należało zaś zaprosić przywódców 11 państw regionu na spotkanie do Polski, wspólnie z prezydent Chorwacji. Każdy z tych przywódców musiał w tym dostrzec jakiś własny interes. Wszystko to wymagało pracy i współpracy oraz nowego instrumentu, jakim jest inicjatywa Trójmorza. Polityka zagraniczna polega między innymi na tworzeniu instrumentów, które mogą się przydać – nie dziś, nie natychmiast, lecz w przyszłości. Dlatego warto myśleć o polityce zagranicznej w dłuższej perspektywie, a w tym celu należy to myślenie stale uwalniać od wpływu doraźnej konkurencji politycznej. Zwykle bowiem z instrumentu raz powstałego korzysta w przyszłości wiele rządów. Czy Trójkąt Weimarski jest prawicowy, czy lewicowy? Czy z Grupy Wyszehradzkiej więcej korzystała Platforma Obywatelska, czy Prawo i Sprawiedliwość, a może Sojusz Lewicy Demokratycznej? Absurdalność tego rodzaju pytań jest ewidentna. Powstanie jakiegoś politycznego instrumentu może być oczywiście efektem jakiejś polityki; bardzo często jest to efekt pośredni. Członkostwo w NATO i Unii Europejskiej było Polsce potrzebne do przezwyciężenia dziedzictwa polityki jałtańskiej, które zgodnie ze swoją logiką i paradygmatem stref wpływów skazywało Polskę na niesuwerenność. Jednak nasze wejście do NATO i UE nie było celem polskiej polityki zagranicznej, ale właśnie jej instrumentem. Dzięki niemu na nowo integrowaliśmy się w systemie światowym. Opuszczaliśmy zaś peryferie rosyjskiego imperium.

Ostatnia uwaga prowadzi mnie do wspomnienia o zmarłym w maju tego roku profesorze Zbigniewie Brzezińskim. Był to nie tylko wybitny umysł analityczny w skali światowej, ale także bardzo świadomy potęgi słowa uczestnik międzynarodowych procesów politycznych. Poznałem go już na ostatnim etapie jego życia; w sumie znaliśmy się dwanaście lat. Wielokrotnie rozmawialiśmy o strategii budowania pozycji międzynarodowej Polski i angażowania uwagi Stanów Zjednoczonych w sprawy regionu, zwłaszcza w aspekcie jego bezpieczeństwa. Zapewne dopiero po kilku latach uświadomimy sobie, jak bardzo „Zbiga” Polsce brakuje – gdy będzie ona potrzebować skutecznego orędownika swoich spraw, doświadczonego, cieszącego się autorytetem, zajmującego się polskimi sprawami z przekonaniem niewynikającym z wynagrodzenia. Profesor Brzeziński odegrał ogromną rolę w procesie przewycięzania przez Polskę jałtańskiego dziedzictwa. W zasadzie można powiedzieć, że zasłużył się dla tej sprawy w każdej funkcji społecznej, jaką w swoim życiu pełnił. Jako badacz i wykładowca uniwersytecki, urzędnik, doradca, polityk, autor książek i politycznych komentarzy, mentor i nauczyciel, wreszcie żarliwy patriota obu narodów – Polski i Stanów Zjednoczonych. Często nawet nie zdajemy sobie sprawy, jak wiele naszych własnych poglądów czerpie z intelektualnego wkładu Zbigniewa Brzezińskiego w rozwój idei i współczesnego rozumienia świata. Wspomnę w tym miejscu tylko o trzech takich sprawach.

To, że mówimy dzisiaj o ustrojach totalitarnych w liczbie mnogiej, że porównujemy nazizm z komunizmem, hitleryzm ze stalinizmem, jest między innymi intelektualną zasługą współpracy Zbigniewa Brzezińskiego z wybitnym znawcą III Rzeszy, amerykańskim badaczem niemieckiego pochodzenia, Carlem J. Friedrichem. W 1956 r. wspólnie ogłosili oni pracę *Totalitarianism, Dictatorship and Autocracy*, w której przedstawili teorię ustrojów totalitarnych szerszą niż ta, którą prezentowali Hannah Arendt czy George Orwell i Arthur Koestler.

To, że w Rosji istnieje świadomość, że ujawnienie prawdy o zbrodni katyńskiej i jej potępienie przez rosyjskie władze i rosyjskie społeczeństwo jest *conditio sine que non* polsko-rosyjskiego pojednania, także stanowi część spuścizny Brzezińskiego. To między innymi w odpowiedzi

na jego inicjatywę Andriej Sacharow 21 sierpnia 1975 r. ogłosił drukiem list oskarżający Związek Sowiecki o mord katyński. Napisał: „My, rosyjscy intelektualiści, musimy z rozgoryczeniem i żalem przyjąć na siebie winę za te wszystkie ciężkie grzechy przeciw Polsce popełnione w imieniu Rosji. Morderstwo katyńskie, zdrada powstania warszawskiego w 1944 roku, próba zduszenia odnowy w 1956 roku stanowią niezatarte plamy naszej narodowej winy”¹.

Wreszcie nasze przekonanie, że żyjemy w epoce globalnego przebudzenia politycznego szerokich mas społecznych – czego konsekwencją są rosnące aspiracje tych mas do wywierania wpływu na politykę, a w efekcie spada jakość tejże polityki – także jest obserwacją wprowadzoną do współczesnej nam myśli politycznej przez Zbigniewa Brzezińskiego w opublikowanej w 1993 r. książce *Out of Control. Global Turmoil on the Eve of the Twenty-First Century*. Tych znanych, choć często nieuświadomionych, intelektualnych „odcisków palców” „Zbiga” na naszym sposobie myślenia i postrzegania rzeczywistości jest znacznie więcej. Z całą pewnością odrębną opowieść o profesorze Zbigniewie Brzezińskim utworzą odtajnione dokumenty z archiwów amerykańskich, niemieckich, polskich i rosyjskich. Jestem pewien, że rzucą one dodatkowe światło na jego zaangażowanie na rzecz Polski, która zawsze była bliska jego sercu.

Ostatni raz rozmawiałem z profesorem Zbigniewem Brzezińskim 11 kwietnia 2017 r. w jego gabinecie w nowej wspaniałej siedzibie CSIS, waszyngtońskiego think tanku, którego był współtwórcą. Zapraszałem go do udziału w konferencji, którą w styczniu 2018 r. PISM będzie współorganizował w Waszyngtonie wspólnie z The Wilson Center, z okazji setnej rocznicy odzyskania przez Polskę niepodległości i amerykańskiego wsparcia dla niej. „Zbig” – pod warunkiem że „zdrowie pozwoli” – przyjął zaproszenie, z zastrzeżeniem, które dziś wspominam ze wzruszeniem, gdyż były to ostatnie słowa, jakie od niego usłyszałem: „Będę mówił jako Amerykanin. W połowie lat 50. dokonałem wyboru, przy którym chciałbym wytrwać do końca. Tego wymaga szacunek do obu narodów, które są mi bliskie. Uważam, że to był wybór

¹ Cyt. za: P. Vaughan, *Zbigniew Brzeziński*, Świat Książki, 2010, s. 250.

słuszny, gdyż bardziej mogłem Polsce pomóc jako Amerykanin niż jako polski emigrant”. Niestety, na wspomnianej konferencji „Zbig” osobiście już nie wystąpi, ale dla mnie i dla Polskiego Instytutu Spraw Międzynarodowych jego duch będzie na niej obecny.

„Polskość” była dla Brzezińskiego źródłem inspiracji, a także pomagała w rozumieniu kontekstu zimnej wojny. Pierwsze trzy („polskie”) dekady życia dały mu umiejętność zrozumienia, czym jest Związek Sowiecki i jego ustrój, jak niedoceniana jest rola krajów takich jak Polska, Ukraina i całościowo Europa Środkowa i Wschodnia w globalnym porządku. Według Normana Daviesa nie było przypadkiem, że to właśnie Brzeziński wspierał tak mocno współpracę amerykańsko-chińską – w końcu to Polacy odkryli zasadę: sąsiad mojego wroga może być moim sojusznikiem. „Polskość” Brzezińskiego stała się ważnym czynnikiem rozważań o nim, prowadzonych przez stronę sowiecką, gdy osiągnął on najwyższy szczebel swojej kariery politycznej w administracji Jimmy’ego Cartera. W dychotomicznym świecie Breżniewowskiego politbiura antysowiecki spisek, w którym znaczącą rolę odgrywają Polacy tacy jak Brzeziński czy Wojtyła, mógł się wydawać realny i na pewno rzutował na myślenie Moskwy o amerykańskim negocjatorze. Notabene bez wiedzy „Zbiga” o naszej części świata interwencja Stanów Zjednoczonych w sytuację Polski w 1980 i 1981 r. nie miałyby tak szerokiego charakteru. Brzeziński był także jednoosobowym pomostem między zniewoloną Polską a „wolnym światem”. Bywał w niej często, już po otrzymaniu amerykańskiego paszportu – najpierw prywatnie, a potem służbowo, choćby z Carterem w grudniu 1977 r. Do Polski przywoził informacje, a w zamian wywoził własne obserwacje.

Brzeziński (parafrazując znany dowcip o malarzu Janie Styce malującym portret Chrystusa) nie wspierał Polski „na kolanach” ale wspierał ją dobrze. I to chyba najlepiej dowodzi jego mądrego patriotyzmu.

Trzeci w tym roku numer „Polskiego Przeglądu Dyplomatycznego” rozpoczyna się blokiem tekstów poświęconych pamięci wielkiego polskiego badacza i polityka – Zbigniewa Brzezińskiego. Są to: list Prezydenta RP Andrzeja Dudy do uczestników ceremonii pogrzebowej Brzezińskiego w Waszyngtonie, odczytany tam przez ministra Krzysztofa Szczerskiego 9 czerwca 2017 r., a także mój prywatny list do rodziny Brzezińskich. Przypominamy też dwa teksty prof. Brzezińskiego, które przed laty opublikowaliśmy na łamach „Polskiego Przeglądu Dyplomatycznego”.

W niniejszym numerze „PPD” w sposób szczególny interesujemy się dylematem, jaki dla polskiej polityki zagranicznej tworzą Chiny. Zaproszeni przez nas eksperci od spraw chińskich, w większości należący do młodego pokolenia, zwracają uwagę na szanse i wyzwania dla Polski związane z coraz bardziej ambitną globalną polityką Chin. Piszą o tym: dr Justyna Szczudlik i Damian Wnukowski – analitycy PISM, prof. Dominik Mierzejewski z Uniwersytetu Łódzkiego i praktyk polsko-chińskiej współpracy gospodarczej – Łukasz Sarek.

Doktor Adam Eberhardt, dyrektor Ośrodka Studiów Wschodnich i wybitny znawca Europy Wschodniej, rozprawia się z mitami dotyczącymi polityki Unii Europejskiej wobec tego regionu i inicjatywy Partnerstwa Wschodniego. Jego tekst jest szczególnie ważny w kontekście ewolucji zachodzącej w relacjach UE z jej niektórymi wschodnimi partnerami, a szczególnie z Ukrainą.

Jak zwykle podejmujemy w PPD aktualną problematykę polityczną. Profesor Sebastian Płóciennik z PISM analizuje obecny stosunek Niemiec do integracji europejskiej, a Eryk Mistewicz podsumowuje francuską kampanię prezydencką.

Zestaw tekstów uzupełniają: esej dr. Iana Anthony’ego o ryzyku związanym z wyścigiem zbrojeń oraz wspomnienie prof. Jacka Czaputowicza o początkach polskiej dyplomacji w III RP w latach 90.

W dziale „Archiwum” piszę o okolicznościach zabójstwa posła ZSRS w Warszawie – Piotra Wojkowa. Analizuję to wydarzenie, niezwykle ważne dla relacji polsko-sowieckich tamtego czasu, podając do druku notatkę Stefana Litauera z rozmowy z dwoma sowieckimi

dypłomatami, jaką odbył z nimi kilka miesięcy wcześniej. Rzuca ona nowe światło na całą sprawę i umożliwia sformułowanie hipotezy, że w zamach na sowieckiego posła w Warszawie w 1927 r. mógł być zamieszany sowiecki wywiad wojskowy. Stanowi ona dobrą ilustrację, jak wielkie znaczenie może mieć przestrzeganie najprostszej, podstawowej wręcz reguły warsztatu dyplomatycznego, czyli sporządzanie notatek z rozmów. Nigdy nie wiemy, co przyniesie przyszłość, a może się okazać, że nawet pozornie niewiele wnosząca do bieżących spraw rozmowa nabierze w świetle późniejszych wydarzeń nowego, bardzo ważnego znaczenia. Bez notatki nigdy się o tym nie dowiemy.

Dział recenzji zawiera omówienia książek napisane przez: prof. Ryszarda Stemplowskiego, Veronikę Józwiak, dr. Łukasza Jurczyzna i Daniela Szeligowskiego.

Życzę miłej lektury.